



MARIA CARMEN MORESE

Amore, amore!

Miłość po włosku

Świat Książki

Amore, amore!

Miłość po włosku

≈ MARIA CARMEN MORESE ≈

Amore, amore!

Miłość po włosku

Z niemieckiego przełożyła
Magdalena Jatowska

Tytuł oryginału
AMORE, AMORE!

Redaktor prowadzący
Monika Koch

Redakcja
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Monika Paulińska
Jadwiga Przeczek

Copyright © by Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin.

Published in 2010 by Ullstein Taschenbuch Verlag

Copyright © for the Polish translation

by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

ISBN 978-83-247-2658-5
Nr 45010

UNO

To przygoda, myślę. Z okna samolotu spoglądam na Włochy, które leżą pod mną spokojne i ciche niczym śpiące zwierzę. W jasnym świetle słońca widzę domy z dachami krytymi dachówką, pinie i cyprysy, a po prawej stronie Elbę, otoczoną szmaragdowozielonymi wodami. Powietrze jest tak czyste i klarowne, że dostrzegam migoczące fale.

Głos pilota budzi mnie jednak niebawem ze śródziemnomorskiego letniego snu – we Włoszech jest zimno, temperatura wynosi około sześciu stopni. Odwracam się i zerkam przez szparę między fotelami. Siedząca za mną starsza pani wzdycha rozczarowana:

– Włochy zdecydowanie nie są tak ładne, jak wszyscy twierdzą. – Potem mówi do męża, zajętego rozwiązywaniem krzyżówki: – Mówiłam ci przecież, żebyśmy polecieeli na Lanzarote. – Kolejne westchnienie. – Poza tym włoskie hotele są słabo ogrzewane. Dzięki Bogu, wzięłam ze sobą koc elektryczny!

Teraz to ja wzdycham. Nie dlatego, że zostawiłam termofor w Hamburgu. Nie, nie w tym problem. Lecę na południe sama, ponieważ znowu jestem singielką. To znaczy osobą samotną, niezwiązaną, porzuconą. Przed sześcioma tygodniami Christian spakował manatki i u boku pewnej brunetki radośnie opuścił na zawsze moje życie.

– Ciesz się – jednogłośnie skomentowały koleżanki nasze rozstanie. – Lepszy bolesny koniec niż boleść bez końca.

Za mało pocieszające uznałam natomiast komentarze w rodzaju: I tak był z niego nieuleczalny podrywacz.

Życia z Christianem wcale nie uważałam za niekończącą się boleść, nawet jeśli czasami podejrzewałam, że może go coś łączyć z którąś z moich znajomych.

Gdy dwa tygodnie po rozstaniu nadal byłam w stanie przełknąć co najwyżej parę jabłek i paczkę chrupkiego pieczywa, rodzina i przyjaciele stwierdzili, że należy natychmiast coś przedsięwziąć. Mama, z pochodzenia Włoszka, dzwoniła codziennie, by dowiedzieć się, czy wreszcie coś zjadłam.

– Czy mam przysłać do ciebie twojego brata Antona z miską lasagne? – pytała zatroskana.

Z kolei najlepsza przyjaciółka usiłowała zaciągnąć mnie do dyskoteki i starała się rozweselić tekstami w stylu:

– Kolejny, proszę!

W biurze koleżanka określiła cienie pod moimi oczami jako „tak wielkie jak pasy na autostradzie” i podarowała mi krem przeciwzmarszczkowy, który miał działać „prawdziwe cuda”. Gdy tak się to wszystko toczyło, a ja w rekordowym tempie zużywałam całe opakowania chusteczek, ktoś w niebie ulitował się nad moim nieszczęsnym losem, ponieważ w tym samym czasie co mój zawód miłosny, nastąpił olbrzymi kryzys śmieciowy we Włoszech.

– Co ma wspólnego jedno z drugim? – spytała mnie zdumiona szefowa, gdy przedstawiłam jej stan rzeczy.

– Nie ma tu co prawda relacji przyczynowej, ale pewien związek jednak jest – odparłam, przyznając, w dość mało przekonujący sposób.

– Chce pani wziąć urlop? – dopytywała się, spoglądając na mnie znad okularów. – Żeby pojechać do Włoch? I co chce tam pani robić? Uprawiać cytryny i pomidory, by zapomnieć o wielkiej miłości?

Podłe, prawda? Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Tak. Pojadę do krewnych... Potrzebują mojej pomocy – wyjaśniłam. Potem wyjąkałam jeszcze parę słów o katastro-

fie śmieciowej, małej liczbie turystów, załamaniu gospodarczym i swojej włoskiej rodzinie. W trakcie mówienia zaczęłam mocno pocić się pod lewą pachą.

Prawdziwe błędne koło – im bardziej się pociłam, w tym większe popadałam zakłopotanie. Zerknęłam na koszulkę – wilgotna plama wciąż rosła. Im bardziej się wstydziłam, tym więcej potu wydzielala lewa pacha.

Czy szefowa to zauważyła? W każdym razie coś nagle musiało złagodzić jej nastawienie, ponieważ ona również spróbowała zamarkować uśmiech. Podsumowała moje nieskładne wyjaśnienia:

– Brat pani matki prowadzi pensjonat w południowych Włoszech, który z powodu tej afery z wywozem śmieci został zamknięty, ponieważ przestali przyjeżdżać turyści. Wujowi i ciotce tuż przed emeryturą grozi bankructwo, dlatego chcą szybko sprzedać hotel i bardzo panią proszą o pomoc w załatwieniu formalności i przeprowadzce?

Potaknęłam z wdzięcznością. Nastala chwila ciszy. Aby przełamać zakłopotanie, opowiedziałam jej o swoim dzieciństwie, o wakacjach nad morzem spędzanych u dziadków i krewnych, o hotelu La Villa Blu i licznych zagranicznych gościach.

Ponieważ szefowa nie próbowała mi przerywać, a nawet patrzyła na mnie z uwagą, mówiłam dalej. Dawniej dom był siedzibą proboszcza, brata dziadka mojej babki. Musiało to być mniej więcej w połowie dziewiętnastego wieku, gdy legendarny dowódca Giuseppe Garibaldi zjednoczył całe Włochy od północy po południe. Paplałam dalej, że nawet po stu pięćdziesięciu latach ludzie na południu nie otworzyli serc przed Włochami z północy. I dalej, w niekończącym się słowotoku, o białych ścianach domu, w ciągu dnia chroniących przed upałem, i o kolacjach pod pergolą, po której pięła się bugenwilla.

– Proszę pani, a teraz na poważnie: jak sobie to pani wyobraża? – przerwała mi szorstko redaktor naczelna. – Nie chce mi pani chyba powiedzieć, że opuszcza nas z powodu jakiejś przeprowadzki i wyjeżdża na roczny urlop nad Morze

Śródziemne? – Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się rozdrażniona. – Sama bym tak chciała. Podobnie jak pani stu dwudziestu zestresowanych kolegów! – Wskazała na teczki i albumy zdjęć piętrzące się na jej biurku. – Jesteśmy zawałeni robotą! – rzuciła pospiesznie. – Trzeba pilnie przygotować czerwcowe wydanie z letnią modą, a w redakcji działu podróży jedna z koleżanek jest na urlopie macierzyńskim. Jak mamy sobie radzić? Reklam nieustannie ubywa, zarząd stawia redaktorów pod ogromną presją.

Opadłam na krzesło i spojrzałam przez okno na miejski park, przed którym stał na placu autobus. Mżyło. W szybie zobaczyłam swoją przestraszoną twarz i pomyślałam, że ta ponura pogoda pasuje do mojej szarej cery.

Wciąż zastanawiałam się, co mam odpowiedzieć, gdy szefowa dokończyła:

– Nie mogę się bez pani obejść. To absolutnie wykluczone! Westchnęłam.

– Chociaż... – mruknęła – chociaż... moglibyśmy... byłoby... – Pauza. Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, obróciła się do okna, a potem znowu w moją stronę. – Tak sobie teraz głośno myślę: gdy będzie pani we Włoszech, czy mogłaby pani od czasu do czasu podesłać nam artykuł?

Uniosłam głowę zdumiona.

– Hm...

Kontynuowała już teraz płynnie:

– Z południowych Włoch nie jest daleko do Rzymu. Musiałaby pani tylko pojechać kilka razy do Rzymu i Mediolanu, obejrzeć jakiś pokaz mody lub wybrać się na targi sztuki, utrzymywać kontakt z fotografami...

Vecchia volpe – chytra lisica, powiedziałyby moja babka, świeć, Panie, nad jej duszą. Mistrzynie strategii znowu mnie zaskoczyła. Mój wniosek urlopowy został zatem zatwierdzony, ale pod warunkiem, że będę dalej pisać dla magazynu. Dwie pieczenie na jednym ogniu, ponieważ można było w ten sposób zaoszczędzić na kosztownym stanowisku korespondentki w Mediolanie w tym *annus horribilis* kryzysu finansowego. Jednocześnie szefowa zyskiwała w redakcji opi-

nię wyrozumiałej przełożonej i powiernicy, która pomogła podwładnej w wyjątkowej potrzebie.

W wyjątkowej potrzebie – tak to ujęła i zaraz dodała:

– Na pewno znalazłaby pani jeszcze nieco czasu dla redakcji działu podróży, prawda? – Nie czekając na moją odpowiedź, wstała i wyjęła z regału teczkę podpisaną ENIT. – Może mogłaby pani wybadać teren i nawiązać kontakt z włoskim biurem turystyki we Frankfurcie nad Menem?

Spojrzałam na nią oszołomiona. Czy powinnam jeszcze raz podkreślić, że do osiemnastego roku życia każde lato spędzałam we Włoszech?

– Zgodnie z tą informacją prasową z Międzynarodowych Targów Turystycznych – wyjęła z teczki kartkę – Włochy to ulubiony cel młodych par w podróży poślubnej! – Podała mi teczkę. – Kiedy dokładnie pani wyjeżdża? Za dwa tygodnie? To proszę napisać od trzech do czterech tysięcy znaków o włoskich pomysłach na stylowe wesele. – Przesunęła dłonią w powietrzu z lewej do prawej, jakby już widziała przed sobą artykuł: – Najważniejsza uroczystość w życiu zorganizowana na plaży, przy blasku księżyca, na łodzi... opis, jak świętują Włosi: Wenecja, Portofino, Rzym. – Usiadła z westchnieniem: – Zazdroszczę pani!

Skinęłam głową i wstałam, by się pożegnać.

Podała mi rękę.

– Kto wie? Może odda pani serce jakiemuś gorącokrwistemu Włochowi! Pani to ma dobrze!

Ktoś chwytą mnie za ramię, a gdy unoszę głowę, steward podsuwa mi wiklinowy koszyczek. Mrugam, a potem chrząkam zakłopotana – sobowtór Luki Toniego oferuje mi owinięte w czerwoną folię praliny w kształcie serc. Buon San Valentino! – widnieje na opakowaniu. Linie lotnicze życzą mi zatem szczęśliwego dnia świętego Walentego. Steward niecierpliwie podtyka koszyczek w moją stronę. Zaraz będziemy lądować, a on musi obsłużyć jeszcze dwadzieścia rzędów. Wybieram czekoladkę.

Na małym wysuwającym ekranie umieszczonym pod sufitem śledzę trasę lotu. Czerwona linia ciągnie się od północnych Niemiec przez Alpy i wzdłuż włoskiego buta prawie do Afryki. Być może uśmiecham się z rozmarzeniem, bo gdy unoszę wzrok, natrafiam na spojrzenie mężczyzny, który siedzi w tym samym rzędzie po przeciwnej stronie przejścia.

– *La prima volta in Italia?* Pierwszy raz we Włoszech? – pyta i uśmiecha się.

– Tak – odpowiadam sucho.

– *Che bello*, to pięknie! Zatem dziewczęca podróż. Ma pani szczęście. Dziś wieje mistral, jest zimno, ale za to pogodnie. Urlop czy praca?

Ponownie kłamię:

– Odwiedzam znajomych.

Nie pytając o zgodę, mężczyzna wstaje i siada na wolnym miejscu obok mnie.

– Jest pani nauczycielką? Czy może studentką?

Uff. W myślach przewracam oczami. Pierwszy włoski Don Juan podczas mojej wyprawy. Jeszcze dla mnie za wcześnie na męskie znajomości, więc odpowiadam *monosillabi*: „Tak, nie, nie wiem”.

Czaruś ignoruje moje pełne rezerwy zachowanie i zaczyna opowiadać o swoim pobycie w Hamburgu. Mówi także o pracy i nieśmiało wypytuje o mnie i moją rodzinę. Gdy samolot dotyka ziemi, wyjmuje z kieszeni marynarki srebrne etui i podaje mi wizytówkę. „Gaetano Letizia, Capri”, czytamy. Z tyłu Błękitna Grota, stary obrazek z czasów Goethego. Podziwiam wypielęgnowane paznokcie i wyprostowaną sylwetkę mężczyzny. Nie wygląda jak typowy południowowłoski macho – przyjemna postać, ciemne włosy poprzetykane cienkimi srebrnymi nitkami. Na pięknym nosie okulary w metalowych oprawkach. Gdy podaję mu swoją wizytówkę, uśmiecha się w nieco zmanierowany sposób i wyciąga wyprostowaną rękę. Jego dłoń porusza się przy tym tam i z powrotem niczym delikatny kwiat.

Może jest gejem?, przemyka mi przez głowę.

– *Giornalista!* – wyjaśnia Gaetano. – Najlepiej podam pani mój numer komórkowy. Gdyby miała pani pytania albo potrzebowała informacji, może pani dzwonić do mnie o każdej porze. – Jego głos brzmi jak łagodny, monotonny śpiew.

Nie ma wątpliwości, jest gejem, stwierdzam. W końcu Capri od stuleci stanowi mekkę homoseksualistów. Oskar Wilde i spółka!

Z jednej strony odczuwam ulgę, a z drugiej jestem rozczarowana. Jego pogodny sposób bycia zaczyna mi się podobać. Przyciągam beznadziejne przypadki jak magnes, myślę sobie. Czyż nie zakochałam się w Christianie, chociaż katastrofa była z góry zaprogramowana? Od początku wiedziałam, że jest nieuleczalnym kobieciarzem. Mimo to nasz związek, pełen wzlotów i upadków, przetrwał sześć lat. A pierwszy mężczyzna, którego teraz spotykam, oczywiście jest gejem. Znowu *bello e impossibile!*

Piękny i niemożliwy wyciąga z kieszeni marynarki pióro i zapisuje na błękitnej wizytówce swój numer komórkowy, po czym oddaje mi kartonik.

– *Grazie* – mówię i wsuwam go do kieszeni.

DUE

Gdy wysiadam z samolotu, czuję powiew mroźnego wiatru. Niebo wciąż jest co prawda lazurowe, ale na horyzoncie zaczynają gromadzić się potężne burzowe chmury.

– Czy to nasze Włochy? – jęczy siwa dama, która podróżuje z elektrycznym kocem w walizce.

W busie włoscy pasażerowie rozmawiają przez komórki. „Mamma!” albo „Pasquale! Antonio! Maria!” i „Adesso adesso, właśnie przyleciałem, czekam na bagaż. Tak, tak, la valigia, potem zaraz do ciebie przyjadę! Tak, lot minął dobrze. Do zobaczenia! Ciao, ciao”.

Rozglądam się na wszystkie strony. Gaetano jakby się zapadł pod ziemię, pewnie wszedł do drugiego busa. Aby się czymś zająć, również włączam telefon. „Wind vi augura Buon San Valentino!”. Najwyraźniej walentynki muszą być dla Włochów świętem narodowym, prawie jak Boże Narodzenie i Wielkanoc, skoro nawet operator telefonii komórkowej życzy klientom przez esemes szczęśliwego święta miłości. Dostaję elektroniczne serce z poradą: „Wybierz numer 4545 i sprawdź ofertę abonamentową z premią dla zakochanych”.

To ci dopiero – przylecieć do Włoch w święto zakochanych, gdy jest się świeżo po rozstaniu, myślę. Czy naprawdę dobrze zrobiłam? Komórka raz jeszcze odwraca moją uwagę. Drugi esemes: „Cara V., sono in straritardo, jestem me-

gaspóźniona, sorry! Spotkajmy się od razu w restauracji Antica Trattoria, Via Caracciolo 4. Do zobaczenia. Baci. Twoja C. PS Bardzo się cieszę na spotkanie!”

Chiara, moja nieodpowiedzialna przyjaciółka, znowu wystawiła mnie do wiatru. Jeszcze wczoraj wieczorem rozmawialiśmy przez telefon i upierała się, że odbierze mnie z lotniska, a teraz nagle to odwołuje.

Czy będę niesprawiedliwa, jeśli powiem, że tego się spodziewałam? Umawianie się z Włochami to przedsięwzięcie, które wymaga przebiegłości Odyseusza, czaru syreny, a przede wszystkim spokoju Buddy. Przed wylotem zadzwoniłam do kilku znajomych z moich letnich wakacji z czasów dzieciństwa. „Sentiamoci, dzwoniemy się, gdy przylecisz”, brzmiały niekonkretne odpowiedzi, albo: „Vediamo, zobaczymy”.

– Łatwiej umówić się na spotkanie z rzeźnikiem niż z Włochem – brzmiał komentarz wuja, gdy opowiedziałam mu przez telefon o swoich odczuciach. – Włochy to *paese del pressappoco*, kraj w przybliżeniu – próbował mnie pocieszyć. – Jeśli, na przykład, spytasz konduktora na Sycylii, o której odjeżdża pociąg, odpowie *più o meno*, mniej więcej o piętej. Wszystkie plany są luźne. W poniedziałek co najwyżej bardzo ogólnie wiadomo, jak będzie wyglądał tydzień, pewne są jedynie imieniny matki. No, może jeszcze ustala się termin wizyty u dentysty, kiedy boli ząb. Wszystko inne jest jak rozplywający się we mgle krajobraz doliny padańkiej – twierdzi wuj Gianni. – Przekaz brzmi: bardzo chętnie się z tobą zobaczę, ale jeśli coś mi wypadnie, wtedy będę zmuszony odmówić. Albo: spotkamy się, jeżeli nie będę mieć innych planów.

– Ale to oportunizm! – prawie krzyknęłam do słuchawki. – Jestem dla nich kołem zapasowym czy co?

– *Calma*, spokojnie, moja kochana, tak nie jest. Neapol to nie miasto, do którego przyjedziesz, walniesz pięścią w stół i powiesz: „Nie chcę!”. Znasz sytuację – korki na ulicach, strajki i zwolnienia. Dzwoni do ciebie koleżanka w potrzebie albo spotykasz na ulicy przyjaciela i idziesz z nim wypić

aperitif. Nagle następuje *imprezisto*, nieprzewidziana okoliczność, która miesza ci plany. Dlatego lepiej niczego nie obiecywać i mieć otwarte różne możliwości. Pamiętasz jeszcze powiedzenie twojej babki?

– Tak – odparłam. – *A santi e criature non promettere*. – Znaczy to mniej więcej: nie obiecuj nic świętym i dzieciom.

– *Brava!* – pochwalił mnie wuj Gianni. – Zdradzę ci moją wersję: nie obiecuj nic kobietom i dzieciom – dodał żartobliwym tonem. Wuj cieszy się opinią niepoprawnego *casanovy*, w dodatku nie lubiącego dzieci.

– No dobrze. Ale odbierzesz mnie później, tak? – spytałam z troską.

– *Sì, sì*, jak ustaliliśmy, w dniu przylotu zostaniesz u przyjaciółki w Neapolu, a następnego dnia przyplyniesz do nas na wyspę promem. Będę czekał na ciebie w porcie. *D'accordo*, zgoda?

– Tak, *ciao*.

– *Ciao, buon viaggio, ciao, ciao*.

Czy Chiara nie stawiała się z powodu innych planów?, zastanawiam się, maszerując z tłumem rozgadanych włoskich pasażerów w kierunku punktu wydawania bagażu. Jak dobrze! Moja walizka już czeka na taśmie. Włoski cud! Niestety radość trwa krótko, ponieważ chwytam walizkę tak niezręcznie, że wypada mi z ręki i uchwyt całkiem się odrywa. *Mannaggia*, co za pech, powiedziałby teraz neapolitańczyk. Czy to zły znak? Na szczęście nie jestem przesądna jak moja matka, która w najdrobniejszych niepowodzeniach widzi zapowiedź tragicznych wydarzeń. Gdy odwiedziłam ją wczoraj wieczorem, by pożegnać się z nią i z *papa*, podarowała mi z tej okazji mały róg z koralu.

Południowi Włosi wierzą, że taki róg strzeże człowieka przed złymi mocami i zazdrością. Dla mnie to ludowy przesąd, sięgający początków starożytności. Już Wergiliusz mó-